

CZASOPISMO  
KULTURALNO-SPOŁECZNE

MOK Stary Młyn Zgierz



nr 19 / 2026



## SŁOWO WSTĘPNE

Co nam wypada, a co nie? Czy można zapominać o poprawności językowej w internecie? Czy można zarzucić hardcorowym żartem i nie przejmować się, że kogoś to urazi? A wysyłać emotki owoców sugerujące coś więcej? Sprawdźcie co myślimy na ten temat.

Okładka zaprojektowana przez Oliwię Gałązkę to punkt wyjścia do rozważań na temat legendarnych romansów, które zniszczyły reputację niejednej kobiety. W miłosnym klimacie także komiks – tym razem poczwórnice fajny, bo w jego powstaniu uczestniczyła aż 4 grafików: Hania, Bartek, Ola i Oliwia. Zobaczcie, co przyniosła ta kooperatywa.

W tym wydaniu także: ważny tekst o kolonializmie, na który wciąż patrzymy z perspektywy zdobywców, recenzja filmu „Iron Lung”, rozmowa z instruktorem jazdy o młodych kierowcach, a także historia zwrotu OK. A czego słuchać, żeby było ok? Sprawdźcie w rubryce Cebula FM.

Na ostatniej stronie tekst naszego Czytelnika – Bartłomieja Tomaszewicza. Dziękujemy, że dajecie się poznać w ramach naszej rubryki Szczypiorek. A jeśli chcecie lepiej poznać redakcję – koniecznie zerknijcie na fantastyczne grafiki Hani Klucz prezentujące twórców Cebuli.

Dobrej lektury!



# CEBULA FM

**Wpływajcie na fale Cebula FM! To nowa rubryka, dzięki której poznacie niszowych i wciąż mało popularnych artystów muzycznych i twórców podcastów. Od muzyki klasycznej, przez indie rock, aż do death metalu – każdy znajdzie coś dla siebie!**

### TENDER SPRING

**GATUNEK:** lofi hip-hop

**KOLOR:** błękitno-zielony

**NASZ ULUBIONY UTWÓR:** It's Alright To Feel Afraid

Prawdopodobnie natrafiliście już na twórczość tender spring, jeśli kiedykolwiek słuchaliście Lofi Girl. Jego styl można opisać jako leniwy, sobotni poranek z lemoniadą lub bezchmurne niebo i spacer po parku. Słuchając lofi hip-hopu zazwyczaj małą wagę przykładamy do twórców tej muzyki, ale tender spring moim zdaniem jest wart oddzielnego przesłuchania. Delikatny riff elektrycznej gitary łączy się z typowym bitem lofi hip-hopu, a w tle często słychać szum lub świergot ptaków, dlatego tender spring jest idealny na relaks w ciepłe, wiosenne dni.



# CÓRKI EWY

Miłość miała być dla nich biletem do wielkiego świata. Do luksusu, sławy, polityki, nieśmiertelności. A skończyła się jak zwykle: publicznym linczem, samotnością, psychiatrykiem, kulą w głowę albo legendą napisaną przez mężczyzn. Historia romansów wielkich kobiet to nie są romantyczne opowieści. To często kronika upokorzeń, w których mężczyźni wychodzili na co najwyżej „kontrowersyjnych”, a kobiety na szalone, rozwiązłe albo tragiczne. Bo świat od zawsze kochał grzesznych mężczyzn i karał kobiety za dokładnie to samo.

Przyjrzyjmy się historii Marilyn Monroe.

Kobieta, którą wszyscy chcieli posiadać, ale nikt nie chciał naprawdę uratować. Romanse z braćmi Johnem F. Kennedym i Robertem F. Kennedym do dziś są owiane mgłą plotek, półprawd i politycznego brudu. Kennedy został legendą, ikoną. Marilyn? „Niestabilna psychicznie blondynka”, którą media rozebrały emocjonalnie do naga, jeszcze zanim znaleziono ją martwą.

I tu zaczyna się ten sam schemat, który przewija się przez dekady: mężczyzna po romansie wraca do swojej kariery. Kobieta zostaje historią ku przestrodze.

Księżniczka Małgorzata zakochała się w Peterze Townsendzie – rozwodniku. Dziś brzmi to banalnie. Wtedy był to niemal polityczny skandal. Monarchia uznała, że miłość księżniczki jest problemem wize-

runkowym. On stracił kobietę życia. Ona przez lata była przedstawiana jako rozkapryszona alkoholiczka z problemami emocjonalnymi. Bo kobieta, której historia nie ma szczęśliwego zakończenia, zawsze musi zostać opisana jako ta „trudna”. Warto jednak zaznaczyć, że kilkanaście lat później Karolowi III przyzwolono na ślub z Camillą, mimo że sytuacja była niemal identyczna, z tą różnicą, że tym razem to ona była rozwódką. Po zagłębieniu się w historię Małgorzaty, zadaję sobie pytanie: co by było, gdyby wzięła ten ślub? Śmiem twierdzić, że nie nosiłaby do śmierci etykietyki „tej nieszczęśliwej”.

Potem mamy również życie Grace Kelly. Hollywoodzka bogini zamieniona w księżniczkę u boku Rainier III. Była to bajka, lecz tylko dla magazynów.

W praktyce: złota klatka. Grace porzuciła karierę, wolność i własną tożsamość, żeby pasować do roli idealnej żony monarchy. Rainier dostał ikonę. Ona – obowiązek bycia reprezentacyjną i perfekcyjną przez 24 godziny na dobę. Śmierć w tragicznym wypadku była dopełnieniem jej dramatycznego losu.

Jeszcze mocniej widać to u Sylvii Plath i Teda Hughesa. Ona była geniuszem literackim, ale przez lata opowiadano o niej głównie jako o „tej depresyjnej żonie Hughesa”. On zdradzał. Ona się rozpadała psychicznie. Po jej samobójstwie świat analizował jej emocjonalność, nie



jego zdrady. Niewiarygodne, jak często kobiece cierpienie romantyzuje się do poziomu sztuki, zamiast nazwać je po prostu konsekwencją emocjonalnej przemocy i samotności.

A przecież historia lubi takie kobiety, a najbardziej piękne, pogubione i martwe. Martwe kobiety sprzedają się świetnie. Zwłaszcza jeśli wcześniej kochały niewłaściwego faceta.

Mata Hari była wręcz idealnym materiałem na patriarchalny koszmar początku XX wieku. Pewna swej seksualności, niezależna, obracająca się wśród wojskowych i polityków podczas I wojny światowej. Francja potrzebowała winnej za militarne porażki, więc łatwiej było zrobić szpiega z egzotycznej kobiety, niż przyznać się do własnej nieudolności. Rozstrzelano ją jak symbol zepsucia. Mężczyźni prowadzący wojny zostali generałami. Kobieta flirtująca z wpływowymi facetami została „femme fatale”, którą trzeba było ukarać.

To fascynujące, jak świat boi się kobiet, które używają seksualności świadomie. Taka kobieta jest niebezpieczna. Za to mężczyzna uwodziciel jest po prostu charyzmatyczny.

Potem mamy Sharon Tate i Romana Polańskiego. Tragiczna zbrodnia rodziny Mansona do dziś funkcjonuje w popkulturze niemal jak mroczna legenda Hollywood.

Jeszcze brutalniejszy jest przypadek Dorothy Stratten. Dziewczyna Playboya, zamordowana przez obsesyjnego męża. Historia stara jak świat: mężczyzna uważa kobietę za swoją własność, a kiedy traci nad nią kontrolę, odbiera jej życie. Media oczywiście skupiły się na jej urodzie, seksualności i „karierze króliczka Playboya”, jakby to miało cokolwiek wspólnego z faktem, że została zamordowana.

Bo społeczeństwo do dziś uwielbia pytać kobiety: „Po co tam poszła?”, „Dlaczego z nim była?”, „Czemu go prowokowała?”. Niewielu pyta: „Dlaczego on uważał, że ma prawo ją zniszczyć?”.

Lisa Nowak stała się jednym wielkim żartem, zanim ktokolwiek spróbował zrozumieć skalę psychicznego rozpadu, do którego doprowadziła obsesja i emocjonalna katastrofa. Astronautka. Elita intelektualna NASA, a świat zapamiętał głównie banalną historię o pieluszcze i zazdrości o faceta.

No i oczywiście największy polityczny teatr hipokryzji lat 90.: Monica Lewinsky oraz Bill Clinton. Reputacja Clintona nieco ucierpiała, ale mimo to został ikoną amerykańskiej polityki. Monica została publicznie upokorzona na skalę globalną. Młoda dziewczyna była rozbierana medialnie kawałek po kawałku przez komików, dziennikarzy i polityków. Świat zrobił z niej symbol

kompromitacji, podczas gdy starszy, potężny mężczyzna wyszedł z tego z opinią „sprytnego gracza politycznego”.

I właśnie to jest najbardziej chore w tych historiach. Nie same romanse. Nie zdrady. Nie skandale. Tylko sposób, w jaki społeczeństwo od stuleci rozdziela winę. Mężczyzna bywa „uwodzicielem”, kobieta – „niszczycielką rodzin”.

Oczywiście, nie każda z tych kobiet była święta. Niektóre manipulowały, wikłały się w toksyczne relacje, podejmowały fatalne decyzje. Ale dokładnie to samo robili mężczyźni obok nich. Różnica polegała na tym, że historia dawała facetom drugą, trzecią i dziesiątą szansę. Kobiętom zwykle fundowano etykietę na całe życie.

Nie chcę, abyście po przeczytaniu tego artykułu oskarżyli mnie o mizoandrię, miałam raczej na celu pokazanie wam, co może uczynić człowiek, gdy jego ego zawędruje na najwyższe szczyty.

Pamiętajcie, patriarchy nie boi się grzecznych kobiet. Patriarchy boi się kobiet widocznych. Świadomych swojej seksualności. Inteligentnych. Emocjonalnych. Takich, których nie da się łatwo kontrolować.

Dlatego tak wiele z tych historii zakończyło się tragedią albo publicznym upokorzeniem. Kobiety stawały się ekranem, na który społeczeństwo rzucało własne lęki i frustracje. Łatwiej było nazwać Monicę Lewinsky „naiwną stażystką”, niż mówić o relacji władzy. Łatwiej było zrobić z Marilyn Monroe „niestabilną seksbombę”, niż przyznać, że otaczał ją świat cynicznych mężczyzn. I może właśnie dlatego te historie nadal tak fascynują. Bo mimo upływu dekad niewiele się zmieniło.

Świat nadal kocha oglądać kobiety spadające ze szczytu. Zwłaszcza jeśli wcześniej odważyły się żyć po swojemu.

**Tekst i grafika: Oliwia Gałązka**

# TO NIE EKSPEDYCJA. TO EGZEKUCJA!

Czy jest ktoś, komu trzeba przedstawiać Markipliera (Mark Fischbach)? Znany jest przede wszystkim ze swojego cyklu „Let’s play” na Youtubie, na którym nagrywa filmy typu gameplay m.in. horrorów takich jak „Five Nights At Freddie’s” czy „Amnesia: The Dark Descent”. Bohater wielu memów, „celebryta”, jak określa go Wikipedia.

Na początku tego roku powstał jego film „Iron Lung”, w którym nie tylko wystąpił jako aktor pierwszoplanowy, ale także zajął stanowisko reżysera, scenarzysty, montażysty i producenta. To bardzo imponujące, biorąc pod uwagę, że „Iron Lung” (inaczej: „Żelazne płuco”) jest filmem science fiction horror i potrzebował znacznie większego nakładu pracy, niż np. filmy obyczajowe.

Mark samodzielnie ufundował produkcję filmu (ok. 3,5 miliona dolarów), a już w pierwszym tygodniu po premierze film zarobił sześciokrotnie więcej, niż wyniósł budżet. „Iron Lung” ustanowił również rekord w ilości użytej sztucznej krwi – było to bowiem aż 80 tysięcy litrów! Film „Iron Lung” wzorowany jest na grze indie z 2022 roku o tym samym tytule, stworzonej przez Davida Szymanskiego (jego ojciec był Polakiem, choć sam David urodził się w Stanach Zjednoczonych). Gameplay tej gry jest dostępny na kanale Markipliera, sama go obejrzałam przed wizytą w kinie, dlatego mogę stwierdzić, że film bardzo dokładnie oddał realia gry, chociaż oczywiście niektóre elementy się różnią. Szymanski przyznał, że jego gra i film Fischbacha ze względu na niewielkie różnice są oddzielnymi kanonami tego samego uniwersum.

Akcja dzieje się w postapokaliptycznym świecie, w którym zniknęły wszystkie dotąd znane planety nadające się do zamieszkania przez ludzi. Samotny skazaniec Simon (w jego roli Markiplier) zostaje wysłany w niewielkiej łodzi podwodnej Iron Lung na opuszczony księżyc pokryty oceanem krwi. Powiedziano mu, że jego celem jest zbadanie pewnych anomalii i sfotografowanie ich. Ale czy na pewno to jest priorytet misji?

To, co najbardziej rzuciło mi się w oczy podczas oglądania filmu, to jego klimat. Większość akcji dzieje się

w malutkiej łodzi podwodnej i właśnie tam wciśnięta jest kamera i nasz bohater Simon. Napięcie budowane jest przez klaustrofobiczne pomieszczenie, a nie tanie jumpscare’y. Towarzyszymy Simonowi w podróży i fotografowaniu anomalii. Dodatkowy dreszczyk zapewnia nieświadomość tego, co znajduje się poza statkiem – widzimy tylko to, co fotografowane, dodatkowo w bardzo słabej jakości. Słyszymy za to bulgot krwi, trzeszczenie łodzi i okazjonalnie niskie, tajemnicze odgłosy, prawdopodobnie potworów zamieszkujących ocean. Jedyne kontakty z innymi ludźmi Simon nawiązuje poprzez mały głośniczek, przez który koordynatorka misji przekazuje mu polecenia. Nic dziwnego jednak, że głośnik bardzo często traci łączę. Odcięcie od świata zewnętrznego zostaje tutaj wykorzystane po mistrzowsku. Ze względu na małe możliwości poruszania kamerą widzimy również częste zbliżenia na twarz Simona, niewielkie elementy łodzi. Istotna jest też gra światła – migotanie słabej żarówki czy blednący ekran z obrazem dna oceanu.



Końcówka filmu była dla mnie trochę zbyt chaotyczna. Ciężko mi było zrozumieć, co się dzieje, kogo słyszymy, jakie wydarzenia opisywano. Może było to spowodowane tym, że obejrzałam gameplay gry przed aktualizacją lore’u (drugi film z gameplay’u również jest dostępny na kanale Markipliera) i miałam tylko podstawową wiedzę na temat świata przedstawionego. Jednak podsumowując film całościowo, zdecydowanie obejrzałabym go ponownie, a zazwyczaj nie przepadam za horrorami. Nie jest to wybitny film, ale naprawdę mi się podobał. Jeszcze nie jest dostępny na żadnej platformie streamingowej, ale prawdopodobnie prędzej czy później się tam pojawi. „Iron Lung” oceniam na 8,6/10 cebul, ale zalecam najpierw obejrzenie gameplay’u na kanale Markipliera, którego również bardzo cenię za humorystyczne podejście do gier.

**Tekst:** Dominika Lewacka

**Grafiki:** materiały dystrybutora

# „TY TEGO NIE ZROZUMIESZ” O GRANICACH CZARNEGO HUMORU

Gdzie sięgają granice czarnego humoru? Na jednym z naszych redakcyjnych spotkań nurtował nas ten temat i choć stwierdziłyśmy, że zagładanie do tej istnej króliczej nory i opisywanie naszych refleksji może być bezcelowe, to jednak zdecydowałyśmy się ów temat podjąć i się nad nim głębiej zastanowić.

Czymże jest czarny humor? Internetowy słownik PWN podaje następującą definicję: „przedstawienie rzeczy tragicznych w sposób humorystyczny”. Przyjrzawszy się tej definicji musimy stwierdzić, że powszechne pojęcie o czarnym humorze wcale się w niej nie mieści. Jak już wcześniej to określiliśmy, zjawisko to stanowi króliczą norę, aby więc przybliżyć wam specyfikę czarnego humoru, weźmiemy na tapet kilka, przynajmniej, mrocznych dowcipów:

- „Co jest małe, czerwone i puka w szybkę?  
Dziecko w piekarniku”.
- „Dlaczego Hitler popełnił samobójstwo?  
Bo przyszedł mu rachunek za gaz”.
- „Dlaczego Żydzi są dobrzy z matematyki?  
Bo mają numery na ramionach”.

Patrząc na te żarty nasuwa się naturalne pytanie: po co i dlaczego jako ludzie posiłkujemy się czarnym humorem? Niekiedy może być to mechanizm obronny. Ofiary traumy często nieświadomie stosują takie metody, jak np. wyparcie, które przejawiać się może m.in. próbą przekształcenia traumy w coś, co prościej jest nam przetworzyć – w żart, w powód do śmiechu. W czasie II wojny światowej, przed jej wybuchem oraz po, ludzie opisywali działania nazistów poprzez dowcipy, śmiali się, bo to pozwalało im na zachowanie zdrowych zmysłów – zarówno ludzie wolni, jak i więźniowie obozów. Cóż bowiem im zostało, jak nie śmiech przez łzy?

Amerykancie oraz inne narody, które nie były pod władzą Hitlera, stosowali żarty o nazistach także po to, by obniżyć ich znaczenie i złagodzić lęk. Naziści szczylic się przemocą, którą wykorzystywali jako narzędzie mające wywołać strach w społeczeństwie. Żarty wyśmiewające nazistów pomogły podważyć ich autorytet i uspokoić nastroje ludzi.

Obecnie spotkać można żarty w temacie pewnego statku pasażerskiego, na pokładzie którego odkryto obecność hantawirusa. Ludzie nie zapomnieli jeszcze o pandemii koronawirusa, a jak widać, strach przed kolejną pandemią rośnie. Spotkaliśmy się już nieraz z żartami o tym, że statek z hantawirusem należy zapoznać z tą

samą górą lodową, która zatopiła Titanica. Panikę, która na całym świecie wybuchła na początku pandemii, trudno było opanować. Obecnie niektórzy próbują jej uniknąć, używając czarnego humoru.

Czasem jednak czarny humor stanowi wymówkę dla dyskryminacji lub słownej agresji – „nie zrozumiesz, jesteś za miękki!”. Ma wówczas polaryzować, jednocześnie zrzeszać ludzi skłonnych do śmiechu, jak i wywoływać dyskomfort u reszty odbiorców. To prowadzi jednak do normalizacji zjawisk będących obiektem czarnego humoru. Idąc logiką przez niego narzucaną: rasizm albo antysemityzm są w porządku, bo „czarni i Żydzi kradną”.

To zjawisko może prowadzić do obniżenia empatii w społeczeństwie. Gdy tego typu materiałami w social mediach karmieni jesteśmy codziennie, nasz poziom akceptacji dla takich zjawisk wzrasta. Granica, której naszym zdaniem nie powinno się przekraczać, powoli jest przesuwana coraz dalej – akurat w takim tempie, byśmy tej zmiany nie zauważali. Co z tego wynika? A to, iż długotrwały kontakt z takim contentem naprawdę jest w stanie narobić niezły bałagan w umysłach ludzi. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak potężnym narzędziem mogą być social media. Słowo „influencer” nie bez powodu pochodzi od angielskiego słowa „influence”, czyli „wywierać wpływ”.



**CZASEM CZARNY HUMOR STANOWI  
WYMÓWKĘ DLA Dyskryminacji lub  
Słownej Agresji – „Nie Zrozumiesz,  
Jesteś za Miękki!”**



Niestety jednak ta nisza humoru istnieje, odkąd ludzie zdolni są do spójnej mowy i bezustannie przybiera nowe postacie. W mediach społecznościowych niedawno można było zaobserwować nowe zjawisko: po śmierci skrajnie prawicowego i, zdaniem wielu, społecznie szkodliwego mówcy publicznego, jego twarz była wklejana za pomocą edycji zdjęć w miejsce twarzy innych ludzi. Była to postać niezwykle kontrowersyjna, dlatego wstrzymamy się od wyrażania opinii na jego temat, natomiast jego śmierć zrodziła zjawisko kirkifikacji, które obejmuje właśnie te przeróbki zdjęć. Problem eskalował, gdy twarz mężczyzny zastąpiła wizerunek kobiety, której los nazwać można

najbardziej tragicznym i niesprawiedliwym i absolutnie nie powinien stanowić powodu do żartu – w internecie zawsze traktowana była z szacunkiem (kto wie, ten wie). Gdzie zatem jest granica? Czyżbyśmy zgubili moralność na poczet złudnego komfortu? Czy godność mniejszości społecznych, ofiar tragedii i osób borykających się z traumą jest mniej istotna od słabego dowcipu wstawionego na Twittera?

Prawdą jest, że wiele z tych „żartów”, szczególnie najbardziej drastycznych, jest typowym przykładem rage baitu, czyli mają na celu oburzyć odbiorcę, by ten zaczął się angażować poprzez komentowanie i jednocześnie zwiększał popularność materiału. Silne emocje wywołane treścią sprawiają, że czujemy się zobowiązani przekazać naszą frustrację dalej, klócić się, walczyć, stawiać na swoim. Ale to wszystko jest po prostu taktyką manipulacji, by osiągnąć ileś tysięcy wyświetleń. I tutaj należy ponownie postawić sobie pytanie: czy warto? Czy naprawdę warto dla krótkotrwałej popularności obrażać pamięć o zmarłych, obracać ofiary przemocy w żart?

////////////////////

**NAJBARDZIEJ DRASTYCZNE ŻARTY TO PRZYKŁAD RAGE BAITU – MAJĄ OBU-  
RZYĆ ODBIORCĘ, BY TEN ANGAŻO-  
WAŁ SIĘ POPRZEC KOMENTOWANIE  
I JEDNOCZEŚNIE ZWIĘKSZAŁ POPU-  
LARNOŚĆ MATERIAŁU.**

////////////////////////////////////

Jakie jeszcze mogą być powody występowania czarnego humoru? Przecież w żarcie o dziecku w piekarniku nie ma mowy o zbiorowej traumie, doświadczeniu, które zdarzyło się dużej grupie ludzi i przed czym chciałyby się uchronić (a przynajmniej mamy taką nadzieję). Na spotkaniu redakcyjnym po długiej rozmowie doszliśmy do wniosku, że może on być również wynikiem zbyt częstej i niepo-


trzebnej cenzury w internecie. Pewnie natrafiliście kiedyś na film, w którym zamiast słów „died” (zmarł) albo „killed” (zabity) użyto słowa „unalive” (od-egzystować, od-żyć). Z początku twórcy medialni używali tego typu eufemizmów ze względu na lęk przed demonetyzacją, co oznacza, że za swoje treści nie otrzymaliby pieniędzy od platform, na których je opublikowali. Jeden z czynników także stanowił problem z algorytmami, które takie treści oznaczały automatycznie jako zakazane dla szerszej grupy odbiorców. Jednakże nie wszystkie platformy są tak surowe i ta forma politycznej poprawności wcale nie jest potrzebna, a wciąż występuje. Zjawisko to, które miało sprzeciwiać się dyskryminacji i eliminować obraźliwy język z przestrzeni publicznej, w swojej przesadzonej formie pełnej zmiękczeń, zdrobnień czy uników, może wywoływać chęć sprzeciwu. Ponadto może się wydawać, iż ta postawa bagatelizuje znaczenie niektórych zjawisk, dlatego zaobserwować można istnienie dwóch skrajności. Czarny humor zaś może być również używany, by szokować, wyróżnić się na tle złagodzonych realiów świata, w którym żyjemy. To wszystko to oczywiście tylko nasza teoria, ale może warta głębszego zastanowienia się nad źródłem powstania czarnego humoru.

Tekst: Dominika Lewacka i Barbara Wiczorek



31. Zgierskie Spotkania Małych Teatrów

# SŁODKOBŁĘKITY

 /SlodkoblekityZgierz

**12 - 13 czerwca 2026**  
/ MOK / Stary Młyn / Zgierz

# MYSLE ZE GIT

Internet miał być przestrzenią wolności – miejscem, gdzie każdy głos może wybrzmieć bez ograniczeń. I rzeczywiście, nigdy wcześniej nie było tak łatwo powiedzieć, co się myśli. Problem w tym, że coraz częściej zapominamy, jak to robić. Granica między szczerością a brakiem kultury zaciera się szybciej, niż ekran zdąży się odświeżyć. Czy w cyfrowym świecie wciąż obowiązuje decorum\*? A jeśli tak, kto je dziś wyznacza: tradycja, algorytmy czy może my sami?

Zaczyna się zawsze niewinnie, w końcu nie każdy filmik, zdjęcie czy wpis w internecie są nieprzyzwoite. Jednak nie da się nie zauważyć, że to, co kiedyś jako społeczeństwo uznalibyśmy za niedopuszczalne do opublikowania, teraz jest normą. Granica stosowności poszerza się wraz z każdym filmikiem, który się do niej w jakiś sposób zbliża.

Nasz ogólny zasób słownictwa zmniejsza się radykalnie. Dzieje się tak dlatego, że w kółko siedzimy w telefonach i zamykamy się na bezpośrednią konwersację z drugim człowiekiem. Nawet krótka rozmowa prowadzona każdego dnia jest w stanie szybko poszerzyć nasz zasób słownictwa, co pozwoli zastąpić nadużywane w internecie sformułowania typu „jakby” na coś bardziej precyzyjnego.

Czy wiesz że?

## TO JEST JAKBY OK

Słowo „OK” jest jednym z najpowszechniejszych i najbardziej rozpoznawalnych słów na świecie, a prawdopodobnie powstało... z shitpostu w XIX-wiecznej gazecie. Pierwszy raz słowo to pojawiło się w 1839 roku w gazecie „The Boston Morning Post”, kiedy to Charles Gordon Greene opublikował artykuł wyśmiewający praktyki redakcyjne rywalizującej z nimi gazety „The Providence Journal”. Greene wraz z innymi redaktorami zapoczątkowali satyryczną modę na skróty i neologizmy zapisywane podobnie do innych słów fonetycznie podobnych i zupełnie niezgodne z regułami ortografii, m.in. KY (know yuse = no use – bez sensu lub nieprzydatne), OW (oll wright = all right – w porządku), jak również o.k., zapisane jako oll korekt (all correct – wszystko poprawnie).

Dlaczego więc z tych wszystkich skrótów ostało nam się jedynie „OK”? W 1840 roku słowo to wykorzystał Martin Van Buren w swojej kampanii, gdy ubiegał

Coraz to więcej oficjalnych wpisów publikowanych przez osoby sławne, celebrytów czy polityków nie przechodzi nawet wstępnej korekty. Wpisy, które publikują (pomijając brak przecinków i innych środków stylistycznych, ogrom błędów ortograficznych i autokorektę, która przekręca znaczenia słów) pozbawione są wszelkiej stosowności, pełne wulgaryzmów i pasywnej agresji, zupełnie jakby ich twórca nawet nie wysilił się, by przeczytać napisany przez siebie tekst i zastanowić się, czy to, co publikuje jest odpowiednie do zajmowanej przez niego pozycji i funkcji. Wielokrotnie spotkałam się z wypowiedziami polityków, w których zawarte były podstawowe błędy wynikające z przedstawienia liter czy braku kropek i przecinków lub posty influencerów poruszające ważne kwestie, np. publiczne przeprosiny czy składanie kondolencji, w których brakuje polskich znaków (m.in. ą, ę, ć, ś).

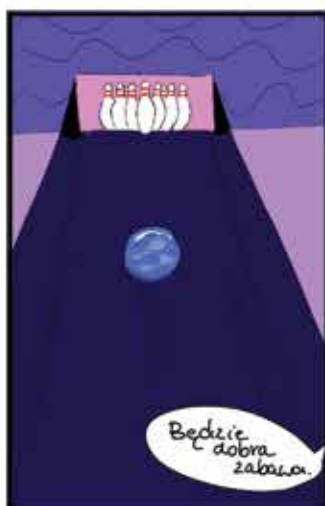
Nie chodzi tylko o zły sposób wyrażania się czy pisowni, ale również o treści, które publikujemy. Coraz większa część naszego życia jest dostępna w social mediach – ta sama część, której parę lat temu nie odważylibyśmy się opublikować. Zdjęcia uwieczniające prywatne momenty, wyznania i dane osobiste. Nie pozostało w nas ani grama tajemniczości. Chcemy, aby nasze życia były widoczne dla wszystkich i polubione przez osoby, których nawet nie znamy. A gdzie leży Wasza granica?

**Tekst: Gosia Rezakiewicz**

\*Decorum – zasada zgodności treści z formą, inaczej jednorodność stylistyczna. [...] Polegała na odpowiednim dobraniu stylu pisania, słownictwa i składni do gatunku oraz tematyki dzieła. Źródło: pl.wikipedia.org

się o stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jego pseudonim (wywodzący się z miasta, z którego pochodził) brzmiał Old Kinderhook, czyli dosłownie „stary mężczyzna z Kinderhook”. Zwolennicy Van Burena wpadli na pomysł wykorzystania skrótu „O.K.” jako symbolu jego kampanii promocyjnej. Martin Van Buren wygrał wybory i został ósmym prezydentem Stanów Zjednoczonych, a słowo „OK” w kilku innych stylach zapisu wkradło się do stałego słownictwa – najpierw Amerykanów, później całego świata. Są również inne teorie dotyczące powstania tego słowa, m.in. mówiąca, że to skrót od greckiego „olla kalla” (wszystko dobrze), Aux Cayes (nazwa haitańskiego portu słynącego z rumu) czy „o ke” (zdecydowanie) z mandinki (rodzina języków nigero-kongijskich).

**Tekst: Dominika Lewacka**



# BARWA, KTÓRĄ KRWAWY NIESIE WIATR

Wojna secesyjna, pierwsza na świecie konstytucja, Deklaracja niepodległości... Może, jeżeli ktoś odrobinę uważał w szkole, jeszcze parzenie bostońskiej herbatki czy też zawiązanie Kongresu. To właśnie te hasła w pierwszej kolejności przychodzą nam na myśl, gdy ktoś wspomina o historii Ameryki Północnej sprzed XX wieku. Nie dzieje się to przez przypadek – to zasługa europejskich kolonizatorów, którzy umiejętnie zadbali o to, by nikt nie pamiętał o rdzennej ludności tego zróżnicowanego kontynentu.

Ich celem, jako „cywilizacji wysoko rozwiniętej” – jak zwykli o sobie myśleć – było sprowadzenie rodowitych Amerykanów do roli prymitywnych barbarzyńców, by tylko podkreślić swój sukces, wielkość i potęgę. By na zawsze znieczulić ludzi na krwawą rzeź, jaka ogarnęła ziemię nowego lądu po przybyciu tam Kolumba i wymazać z pamięci wiedzę o tym, że wcześniej było tam coś więcej niż jedynie rozległe prerie.

Udało im się – wiele kluczowych elementów folkloru i tradycji różnorodnych kultur przepadło już na zawsze, pochłonięte przez chciwą łapę kolonizacji. Nie dość, że nigdy nie wspomina się o osiągnięciach ludności lokalnej (a naprawdę, jest to temat na jeszcze parę następných artykułów), to jeszcze umniejsza się wszelkie krzywdy, które dotknęły ją ze strony kolonizatorów. Prawdziwe dane są przekłamywane, a skala okrucieństw zaniżana. I ta niewiedza wcale

nie jest problemem należącym do przeszłości – przeciętny człowiek (nawet Amerykanin, a może zwłaszcza Amerykanin) ma naprawdę znikomą pojęcie na temat realnego rozmiaru ludobójstwa, ogromu przesiedleń, chorób, rabunków i indoktrynacji, jakie przynieśli ze sobą kolonizatorzy. Poza tym te wydarzenia i ich konsekwencje wcale nie miały miejsca bardzo dawno temu. Ostatnia szkoła rezydencjalna (taka, do której porywano dzieci z ich rodzimych plemion, by mogły „nawrócić się” na europejską „wyższą kulturę”) została zamknięta dopiero w 97. roku. I nie, nie w 1797 lub 1897. W 1997 roku!

Rdzenni mieszkańcy Ameryki żądają zadośćuczynienia i przede wszystkim szacunku. Pewnie zauważyliście już, że ani razu nie użyłam w stosunku do nich popularnego terminu „Indianie”. To miano jest przecież błędem pochodzącym od mylnego przekonania Kolumba o tym, że dotarł do Indii, a zarazem silną bronią mającą na celu unieważnienie tożsamości kulturowych. Wraz z walką o rzucenie światła na prawdziwe oblicze kolonizacji oraz jej realia możliwe było dojście do konsensusu, według którego przyjęto określenie „rdzenni Amerykanie” jako to najbardziej poprawne. Wciąż nie wszyscy są tą akurat nazwą ukontentowani, lecz nie znalazła się do tej pory żadna inna, która byłaby powszechnie akceptowana przez różnorodne i określane tym mianem środowiska.



Oprócz względnie poprawnej nazwy rdzennym Amerykanom należy się zwyczajna rozpoznawalność i dobra reprezentacja w mediach, co jednak wciąż nie jest zadowalające.

Pamiętacie Pocahontas? Tę Pocahontas, która według Disneya wybrała angielskiego kolonizatora, Johna Smitha, ponad swojego narzeczonego, wojownika Kokuma? Rzeczywistość wyglądała jednak inaczej. John Smith, chociaż może nie najbardziej okrutny ze swoich pobratymców, był przecież jednym z tych, którzy porwali ją i przetrzymywali w niewoli, zmuszając do zmiany religii oraz przyjęcia obcej kultury. To nie był żaden „amerykański sen” – w rzeczywistości nie była dobrze traktowana, tak jak próbowano to wmówić opinii publicznej. Kolonizatorzy wielokrotnie wykorzystywali ją, gwałcili i stosowali wobec niej przemoc – a warto podkreślić, że była nastolatką. Zmarła, mając zaledwie dwadzieścia dwa lata, pośrednio również przez kolonizatorów, a konkretnie przez obce choroby, przed którymi jej organizm nie potrafił się bronić.

A Disney? Postanowił z tego zrobić romantyczną historijkę, zarabiając na krzywdzie rdzennych Amerykanów, nie okazując im przy tym nawet odrobiny szacunku. Historia Pocahontas została wyśmiana – plemię Powhatanów sprowadzono do roli niewyrozumiałych barbarzyńców, a postać Kokuma zdemonizowano, choć przecież zginął w słusznej walce o wolność swojego ludu.

Nie mówię, że dobra reprezentacja w popkulturze w ogóle nie istnieje. Mamy przecież przepiękny film „Spirit” czy choćby „Avatar”, które w mniej lub bardziej bezpośredni sposób wspaniale oddają realia terroru kolonizacji i opowiadają o potrzebie wolności. Chociażby w siódmej części „Jojo’s Bizarre Adventure: Steel Ball Run” znajdziemy postać Soundmana, który poświęca życie wyzwoleniu swojego plemienia spod terroru najeźdźcy. Z pewnością jednak tej reprezentacji na większą skalę brakuje.

Hasło „historię piszą zwycięzcy” niezmiennie okazuje się jednym z najbardziej słusznych wniosków, jakie ludzkość wyciągnęła ze studiowania własnych dziejów. Historia nie jest po to, by wiernie oddawać bieg wydarzeń. Służy temu, kto akurat ma aparat władzy w garści i więcej pieniędzy w sakiewce. I dla rdzennych Amerykanów wcale nie okazała się ona łaskawa. Nic już nigdy nie zwróci życia i tożsamości tym wszystkim dzieciom, kobietom i mężczyznom, nic już nigdy prawdziwie nie zadośćuczyni za te straszliwe krzywdy i upokorzenia, jakich doświadczyli, ale możemy zrobić dla nich jedną rzecz – pamiętać, jak to było naprawdę.

Tekst: Zofia Rosiak

Grafika: Bartosz Trawkin

# CEBULA FM

## FOMO PODCAST

**GATUNEK:** podcast społeczny, obyczajowy

**KOLOR:** róż

**PROWADZĄCY:** Arkadiusz Wolek

FOMO to podcast, w którym zobaczycie znane Wam twarze z internetu, ale w trochę innym wydaniu. Słuchowisko opiera się na karcianej grze z pytaniami „Deep Dive” – opracowanej przez autora podcastu. Gra dzieli się na trzy etapy: zaczyna się delikatnymi pytaniami rozgrzewkowymi, a kończy na poważnych rozmowach o traumach, wspomnieniach z dzieciństwa czy niezrealizowanych marzeniach. Jeżeli chcecie zobaczyć kim są Wasi ulubieni influencerzy poza ich profilem – ten podcast jest dla Was.



# Bon Appétits

Współczesny internet potrafi nadać erotyczny kontekst niemal wszystkiemu – nawet temu, co najbardziej zwyczajne i niewinne. Owoce, warzywa, a nawet sposób jedzenia stały się elementem kultury sugestii, memów i dwuznacznych skojarzeń. Banan, bakłażan, brzoskwinia czy wisienki przestały być wyłącznie produktami spożywczymi – dziś często funkcjonują jako symbole seksualne, używane w emotikonach, żartach i ogólnie mediach społecznościowych. Problem pojawia się wtedy, gdy ta pozornie niewinna zabawa zaczyna wpływać na nasze relacje z jedzeniem i własnym ciałem.

Najbardziej oczywistym przykładem jest banan. Sam sposób jego jedzenia bywa przez część społeczeństwa odbierany jako coś erotycznego, szczególnie gdy robi to kobieta w miejscu publicznym. To absurdalne, że zwykła czynność, jak zjedzenie owocu, może zostać



oceniona przez pryzmat seksualnych skojarzeń. W efekcie wiele osób zaczyna odczuwać dyskomfort, wstyd lub skrępowanie przy całkowicie naturalnych zachowaniach.

Jedzenie przestaje być neutralne – staje się „komunikatem”, który inni interpretują według własnych schematów.

Podobnie działa bakłażan, który w internecie praktycznie utracił swoje kulinarne znaczenie. Nawet truskawki, lizaki czy bita śmietana w popkulturze często przestają być jedzeniem, a stają się narzędziem seksualnej narracji. To zjawisko wydaje się zabawne tylko na pierwszy rzut oka. W rzeczywistości może prowadzić do poważniejszych konsekwencji społecznych i psychologicznych. Kiedy jedzenie zostaje stale przedstawiane jako coś erotycznego, zmienia się nasz sposób myślenia o nim. Zamiast traktować posiłek jako źródło energii, przyjemności i troski o zdrowie, zaczynamy postrzegać go przez pryzmat wyglądu, kontroli i społecznej oceny. Szczególnie młodzi ludzie, którzy dorastają w kulturze memów i mediów społecznościowych, mogą mieć trudność z oddzieleniem normalności od seksualnej presji. To może sprzyjać zaburzeniom odżywiania. Jeśli jedzenie staje się źródłem wstydu albo niepokoju, łatwiej o budowanie niezdrowych relacji z własnym ciałem. Pojawia się lęk przed oceną, nadmierna kontrola zachowań, unikanie pewnych produktów czy sytuacji społecznych. Zwykły posiłek w szkole albo



jedzenie lodów na mieście może nagle stać się stresujące, bo ktoś może „coś pomyśleć”.

Seksualizacja jedzenia to także przykład szerszego problemu: uprzedmiotowienia codzienności. Kiedy nawet owoce przestają być po prostu owocami, a każda czynność może zostać sprowadzona do erotycznej interpretacji, tracimy zdrową granicę między naturalnością a przesadną seksualizacją świata. To nie jedzenie jest problemem, lecz sposób, w jaki kultura nauczyła nas na nie patrzeć.

Może więc warto pozwolić jedzeniu znów być jedzeniem – bez wstydu, dwuznaczności i bez niepotrzebnego ciężaru społecznej interpretacji. Bo zdrowa relacja z jedzeniem zaczyna się właśnie tam, gdzie kończy się niezdrowa potrzeba seksualizowania wszystkiego.

Siłą napędową tego nurtu myślenia jest korzystanie z emotek takich jak 🍆🍑🍒🍌 w kontekście odbiegającym od aspektów kulinarnych. Zaslaniamy się tymi przykładami, by nie mówić na głos niewygodnych słów, ale prawda jest taka, że to wciąż jest jedzenie, które przez lata w internecie nabrało pewnego kontekstu i już nigdy nie będzie nam się kojarzyć tak samo.

Tekst: Małgorzata Rezakiewicz

Grafiki: Aleksandra Skrok



# JAZDA PO PRAWKO!

Jeszcze kilka lat temu prawo jazdy kojarzyło się głównie z dorosłością. Dzisiaj wielu ludzi myśli o nim już chwilę po siedemnastce. Dla jednych to wygoda, dla innych konieczność, a jeszcze inni odkładają kurs na później. W małych miejscowościach samochód często daje więcej możliwości niż sam autobus, który kursuje kilka razy dziennie. Postanowiłem porozmawiać o nauce jazdy z panem Markiem – instruktorem, który od ponad dwóch dekad obserwuje, jak zmieniają się kursanci i podejście do samego prawa jazdy.

## OD ILU LAT PRACUJE PAN JAKO INSTRUKTOR?

Już 26 lat. Przez ten czas naprawdę dużo się zmieniło.

## CZY ZMIENIŁ SIĘ WIEK OSÓB ZAPISUJĄCYCH SIĘ NA KURS?

Zdecydowanie. Kiedy zaczynałem, większość ludzi robiła prawo jazdy około dwudziestki. Teraz wielu chce zdobyć je jak najwcześniej. Chociaż nadal zdarzają się osoby po czterdziestce. Prawo jazdy dla młodych ludzi coraz częściej oznacza coś więcej niż tylko możliwość prowadzenia auta. To trochę symbol niezależności.

## DLACZEGO MŁODZI LUDZIE CHCĄ DZIŚ TAK SZYBKO ZROBIĆ PRAWO JAZDY?

Myślę, że chodzi głównie o wolność. To możliwość pojechania samemu do szkoły, pracy albo znajomych bez proszenia kogokolwiek o podwózkę. Młodzi chcą być niezależni od innych ludzi i od komunikacji miejskiej. I trudno się z tym zgodzić. Szczególnie, gdy mieszka się w mniejszej miejscowości, gdzie autobus potrafi jechać raz rano i raz po południu. Wtedy samochód nie jest luksusem, tylko zwyczajnie ułatwia życie.

## CZY PRAWO JAZDY JEST DZIŚ BARDZIEJ POTRZEBNE NIŻ KIEDYŚ?

Na pewno tak. Ale z drugiej strony widzę, że komunikacja miejska i między miastami rozwija się coraz lepiej, więc może kiedyś trochę się to zmieni. Jedno jednak się nie zmienia – dla wielu młodych ludzi prawo jazdy nadal oznacza niezależność. Możliwość wyjazdu do pracy, szkoły czy po prostu spotkania ze znajomymi bez oglądania się na rozkład autobusów. Szczególnie w mniejszych miejscowościach daje ono większą swobodę i poczucie samodzielności.

## JAKIE RADY UDZIELIŁBY PAN PRZYSZŁYM KIEROWCOM?

Nie warto poddawać się po pierwszych błędach. Każdy kiedyś zaczynał, a człowiek najlepiej uczy się właśnie na błędach.

## DZIĘKUJĘ ZA ROZMOWĘ.

Rozmowę przeprowadził i spisał: Franek Błaszczuk

Grafika: Oliwia Gałązka



# REUSE. REPEAT.

## UPCYKLING JAKO SZTUKA I NARZĘDZIE ZMIANY SPOŁECZNEJ W WALCE O ŚRODOWISKO

W obliczu rosnącego kryzysu klimatycznego oraz postępującego wyniszczenia środowiska naturalnego coraz więcej osób i społeczności poszukuje kreatywnych sposobów na ograniczenie odpadów i zmianę konsumpcyjnych nawyków. Jednym z najbardziej inspirujących zjawisk ostatnich lat jest upcykling – praktyka polegająca na przekształcaniu zużytych lub niepotrzebnych przedmiotów w nowe produkty o wyższej wartości estetycznej lub użytkowej. Więcej o założeniach upcyklingu możecie przeczytać w artykule „Re-historia” w 15. numerze Cebuli. To, co kiedyś było jedynie formą ekologicznego recyklingu, dziś coraz częściej staje się pełnoprawną dziedziną sztuki oraz skutecznym narzędziem kampanii społecznych.

## UPCYKLING JAKO FORMA SZTUKI

Upcykling w sztuce wykracza poza zwykłe ponowne wykorzystanie materiałów. Artysty tworzą z odpadów dzieła, które nie tylko zachwycają formą, ale również niosą ważny przekaz. Stare ubrania, plastikowe butelki, zużyte części elektroniczne czy metalowe odpady zyskują nowe życie jako instalacje, rzeźby, a nawet elementy architektury. Tego typu twórczość często balansuje na granicy designu i sztuki współczesnej, zmuszając odbiorców do refleksji nad ilością produkowanych śmieci i ich wpływem na planetę.

Coraz częściej upcykling wykorzystywany jest jako narzędzie komunikacji w kampaniach społecznych. Organizacje ekologiczne oraz aktywiści wykorzystują sztukę z odpadów, aby zwrócić uwagę na problem nadprodukcji i zmian klimatycznych. Instalacje z plastikowych śmieci ustawiane w przestrzeni publicznej czy modowe pokazy z ubrań z odzysku potrafią skutecznie przyciągnąć uwagę mediów i opinii publicznej. Tego typu działania mają ogromną siłę oddziaływania, ponieważ przemawiają do emocji odbiorców. Widok rzeźby wykonanej z tysięcy plastikowych butelek może być bardziej poruszający niż statystyki dotyczące zanieczyszczenia oceanów. Upcykling staje się więc językiem, który łączy sztukę z aktywizmem.

## BUTELKI KAUCYJNE

Oddawanie butelek to jeden z najłatwiejszych sposobów, by każdy z nas mógł realnie przyczynić się do ochrony środowiska. W wielu krajach (a od niedawna także w Polsce) funkcjonują systemy kaucyjne, które zachęcają do zwrotu opakowań po napojach – zarówno plastikowych, jak i metalowych. Dzięki temu surowce mogą być ponownie wykorzy-

stane, zamiast trafiać na wysypiska czy do środowiska naturalnego. Proces oddawania butelek jest bardzo prosty. Po opróżnieniu butelki z napojem należy nie zgniatać jej, lecz delikatnie odkręcić korek i oddać w wyznaczonym punkcie. Najczęściej są to automaty zwrotne w supermarketach lub specjalne stanowiska przy sklepach. Maszyna skanuje kod kreskowy i przyjmuje opakowanie, a w zamian wydaje paragon lub zwraca pieniądze.

Dlaczego to takie ważne? Przede wszystkim zmniejsza ilość odpadów trafiających do środowiska, zwłaszcza plastiku, który rozkłada się przez setki lat. Ponowne wykorzystanie materiałów pozwala też ograniczyć zużycie surowców naturalnych oraz energii potrzebnej do produkcji nowych opakowań. To z kolei przekłada się na mniejszą emisję gazów cieplarnianych i realnie wpływa na walkę ze zmianami klimatu. Oddawanie butelek to niewielki wysiłek, który w skali społeczeństwa przynosi ogromne korzyści. To prosty nawyk, który warto wprowadzić do codziennego życia – dla dobra środowiska i przyszłych pokoleń.

## FREEGANIZM – ŻYCIE PRZECIWKO MARNOWANIU

Freeganizm to styl życia polegający na ograniczaniu konsumpcji i sprzeciwie wobec marnowania zasobów, zwłaszcza żywności. Osoby praktykujące freeganizm często korzystają z produktów, które zostały uznane przez sklepy za dłużej nieprzydatne, ale wciąż nadają się do użytku, jak np. jedzenie ze sklepów czy restauracji, które nie zostało sprzedane przed upływem terminu przydatności. Freeganie kierują się ideą minimalizowania odpadów i zmniejszania swojego wpływu na środowisko. W praktyce oznacza to, że nie kupują żywności w sklepach, żeby nie nakręcać przemysłu, który i tak produkuje tej żywności zbyt wiele. Korzystają natomiast z tego, co te sklepy nadprodukowały – takie jedzenie często zostawiane jest obok śmietników, ale wciąż jest zdatne do spożycia i opakowane w taki sposób, że można mieć pewność jego świeżości. To sposób na pokazanie, jak wiele zasobów jest marnowanych w codziennym życiu. Choć freeganizm bywa kontrowersyjny, jego głównym celem jest zwrócenie uwagi na problem nadprodukcji i nadkonsumpcji.

W celu polepszenia życia freeganów powstały aplikacje w stylu Too Good To Go. Wy też możecie wprowadzić zmiany w swoich codziennych nawykach. Nie dla siebie, nie dla mnie, ale dla dobra ogółu i naszej planety.

Tekst: Małgorzata Rezakiewicz



Fundusze Europejskie  
dla Łódzkiego



Rzeczpospolita  
Polska

Dofinansowane przez  
Unię Europejską



# REDAKCJA CEBULI

## OCZAMI HANI KLUCZ



**OLA K**  
DZIENNIKARKA

Pisze o: kultura i sztuka; tworzy  
wykreślanki i krzyżówki



**ZOSIA**  
DZIENNIKARKA

Pisze o: historia, kultura



**HANIA**  
DZIENNIKARKA / GRAFIK

Pisze o: świat anime, kultura,  
sprawy społeczne



**GOSIA**  
DZIENNIKARKA

Pisze o: ekologia, sprawy społeczne,  
moda i trendy, emancypacja kobiet



**DOMINIKA**  
DZIENNIKARKA / KOREKTA

Pisze o: język, historia, kultura, DIY



**BARTEK**  
GRAFIK



**BASIA**  
DZIENNIKARZ

Pisze o: kultura, mniej i bardziej  
niszowe media, sprawy społeczne



**OLIWIA**  
DZIENNIKARKA I GRAFICZKA

Pisze o: sprawy społeczne i kulturalne



**KRZYSIEK**  
DZIENNIKARZ

Pisze o: muzyka, elektrotechnika, DIY



**OLA S**  
GRAFICZKA



**JANEK**  
DZIENNIKARZ / GRAFIK / SKŁAD

Pisze o: kultura, kulinaria, trendy



**FRANEK**  
DZIENNIKARZ / GRAFIK

Pisze o: sprawy społeczne

# PIĘKNE ANIME O WOJNIE, STRACIE I... PISANIU LISTÓW!?

## CZYLI RECENZJA „VIOLET EVERGARDEN”

Ale od początku: Violet po wojnie, w której straciła obie ręce chce zrozumieć ostatnie słowa swojego majora Gilberta: „kocham cię”. Gilbert był pierwszą osobą, która zobaczyła w Violet człowieka... dziecko. Do tamtej pory wszyscy traktowali Violet jak broń, Gilbert poświęcił dziewczynie swój czas, nauczył ją czytać i pisać, to właśnie on nadał jej imię Violet.

Po wyjściu ze szpitala, na prośbę Gilberta, Violet zajmuje się Claudia Hodgins, który prowadzi firmę pocztową oferującą usługi pisania listów przez tzw. samozapamiętujące lalki. Violet patrząc, jak jedna z nich przenosi ludzkie emocje i uczucia na papier, sama chce podjąć się tej profesji, by zrozumieć znaczenie słów „kocham cię” wypowiedziane przez majora.

Mocną stroną serialu jest warstwa audiowizualna, płynne i szczegółowe animacje, w której praktycznie każdy pojedynczy kadr jest istnym dziełem sztuki, tła są szczególnie zaprojektowane dla każdej z lokalizacji pojawiającej się w serialu, projekty postaci zapadają w pamięć – są bogate w swojej prostocie. Muzyka w tym anime jest miodem dla uszu. Utwory takie jak „Sincerely” autorstwa TRUE będąca openingiem dla serii lub ending „Michishirube” Minori Chibary na długo po zakończeniu serialu nie chciały wyjść z mojej głowy.

„Violet Evergarden” było jednym wielkim emocjonalnym rollercoasterem – po pełnych ciepła odcinkach pojawiały się epizody, w trakcie których łzy same napływają do oczu (odcinku 10. – mowa tu o tobie!).

Mimo tych wszystkich zalet, serial ma też swoje wady, m.in brak rozwoju postaci innych niż Violet i Dietfried (brat Gilberta). Postacie takie jak Iris i Erica (koleżanki Violet z pracy) w zasadzie stoją w miejscu. Dodatkowo dwa ostatnie odcinki miały znacznie inne tempo i charakter niż reszta odcinków – wydają się za szybkie.

Mimo wszystko „Violet Evergarden” to piękna historia, do której zglębienia bardzo zachęcam.

Cała seria (serial „Violet Evergarden” liczący 13 odcinków, odcinek specjalny „Violet Evergarden: special” i trzy filmy: „Violet Evergarden: Eternity and the Auto Memory Doll”, „Violet Evergarden - film” oraz „Violet Evergarden: Recollections”) znajduje się na platformie Netflix.

**Tekst gościnny: Bartłomiej Tomaszewicz**

**Redakcja: Jan Andrzejczak, Krzysztof Andrzejczak, Franek Błaszczak, Oliwia Gałązka, Hanna Klucz, Aleksandra Krysicka, Dominika Lewacka, Gosia Rezakiewicz, Zosia Rosiak, Aleksandra Skrok, Bartosz Trawkin, Barbara Wieczorek.**

**Projekt okładki: Oliwia Gałązka**  
**Skład: Jan Andrzejczak**  
**Opieka redakcyjna: Anna Perek-Kowalska**  
**Korekta: Dominika Lewacka**

**Wydawca:**  
**Miejski Ośrodek Kultury STARY MŁYN**  
**Zgierz, ul. Długa 41A**  
**[www.starymlynzgierz.pl](http://www.starymlynzgierz.pl)**

**[Facebook.com/czasopismocebula](https://www.facebook.com/czasopismocebula)**  
**Instagram: czasopismocebula**

